

ORĘDOWNIK

NAUKOWY.

Spis rzeczy **13** Numeru: Poezya, *Nikt ze mną.* — *Demonomania, nauka nadziemskiej mądrości przez Br. Trentowskiego.* — *Uwagi nadpowieścią, Latarnia czarnozęzka, obrazy naszych czasów p. J. J. Kraszewskiego, IV. T. Warszawa, 1844.*

POEZYA.

NIKT ZE MNĄ.

Nikt dzisiejszych dni nie badał,
W teraźniejszość nikt się niewpił,
Nikt mię echem niepowtórzył,
Zaden Anioł mi nie wtórzył,
Każden cały głos postradał,
Niema nigdzie takich sił,
Co by całe Dzisiaj wzięły
I zmierzyły — i podjęły
I zagrzmiały Wielkim Dziś. —

* * *

Jedni okropnie — dziwnie — piekielnie się śmieją,
Drudzy lży niedołężne — i przebrzmiały leją,
Inni głupią — daleką cieszą się nadzieją;
Jednak mówię, że to Dziś
Jest w was samych — w waszem łonie,
Jest, na Boga — musi być,
Ja wam każę — Stwórcy siłą,
Wasz Duch nie jest leż mogiłą,
Ale życiem — burzą płonie,
Wy musicie chcieć — i żyć,

Wy musicie, bo wam każę,
I siłą czynu, jak sam Bóg obdarzę,
Wy musicie Dzisiaj znać,
Dziś się stworzyć — Dziś się stać,
Samo wielkie Dzisiaj mieć —

* * *

Dziś głos każdego — naszego Poety
Wcielił się w nudne — i głuche Niestety!
Każden powtórzył toż samo sto razy,
Zmiennemi rymy — zmiennemi wyrazy,
Później zamilkli — zaczęły się płacze,
Szlochania — jęki — i nieme rozpaczę,
Świat cały głuchy — Wieszczę oniemieli
I Nieba milczą — i sami Anieli —
Lecz dla nas niemieli.....

I wszystko milczy — sam Mistrz głos swój tłumi,
Czy niechce śpiewać — czy więcej nieumie,
Serca stanęły — siebie się wyparły,
I świat umarły
I głuche Niebo nad nami,
My sami — sami —

* * *

Czyż choć jeden poszedł ze mną?
Czyliż zdeptał przeszłość ciemną —

Czyliż zmierzył terazniejszość??
Cień mnie własny jeszcze mam,
Złudzeń dosyć — żalu dość,
Bo nikt zemną,
Nikt na demną,
Niemam — niemam towarzysza,
Ja sam jeden — jedna cisza,
U stóp moich zawieszona,
I ta kona — i ta kona,
Cała moja krew zbroczona —

* * *

Ciszo! tyś w miejscu świata, w miejscu ludzi — Boga,
W miejscu poetów — wieszczów — w miejscu Nieba —

słońca,
I w miejscu sere bijących — życia — i młodości —
Ja jeden — jeden tylko na nieskończoności,
Ach! jeden czuję — myślę — i pragnę bez końca.
Samotność moja straszna — okropna — i sroga —
Ludzie mię niepojmują — sam Bóg nierozumie,
Kiedy na pieśni moje gromem nieodpowie,
Za wszystkich — i za wszystko tworzę — działam —

czuję,
Za wszystkich — i za wszystko wierzę — i miłuję.
Drzyjcie Nieba — i słońca — drzyjcie Aniołowie,
Bo ja sam jeden tylko — w niemym głazów tłumie,
Ach! wszystkiemu — i wszystkim wystarczę — wydołam,
I do samego Boga, jak sam Bóg zawołam,
Tu nie leż, lecz krwi potrzeba,
Precz lzy z Nieba — płyn krwi z Nieba —

* * *

Ja twe spalę błyskawicę,
Zbladły wasze nędzne lice,
Boście świata niespalili,
Boście cnocie niesłużyli,
Gdzież są waszych błysków dzieci?
Gdzież piorunów bracia — syny?
Gdzież są siostry? gdzież dziewice?
Siostry wasze błyskawice?
Komuż to wasz odbłask świeci?
I cóż, z waszej się krainy,
Cóż się stało? ha! widzicie?

.
Wszakże ona błyskawicą
Zawsze była w blasku wzrosła,
Błyskawicę światu niosła,
W błyskawicy kąpie życie,
I piorunną iskrę żrenicą,
Waszą chwałę rozszerzała,

Światłem — w świetle wykapała,
Serce swoje — co piorunem,
Po nad gorzkich lez całunem,
Zabłyskało —

* * *

Świat wam także wydarł oczy,
I dla tego w pół błyskanie,
I w pół piorun w Niebie kroczy;
Zabłyśnijcie śmiało — z chwałą —
Jeśli w Niebie sił niestanie,
To wam dodam — ja pomogę;
Sercem — myślą lecę — świecę,
Piorun Ducha wnet rozniecę,
Błyskawicą znacze drogę,
W błyskawicy kąpie ciało,
I piorunach kąpie Ducha,
I już pękła cisza głucha,
Jam ją zabił cięciem śmiałem,
Lecz sam jeden tylko stałem,
Ach! sam jeden, bo nikt ze mną,
I nikt za mną iść nie może;
Patrzą — patrzą, niechęć widzieć,
I przestali już się wstydzić,
Choć im na oczach, tysiąc słońc położy,
Im zawsze zimno — grobowo — i ciemno,
Choć cały pożar Ducha im wyleję,
To zawsze tylko mieć będą nadzieję,
Podłą nadzieję, którą stopić trzeba,
I wylać jasne dni dzisiejszych Nieba,
I patrzeć — patrzeć tak wściekle — piekielnie,
Byśmy ujrzeli, co tak proste — jasne,
Co już jest Dzisiaj — czego się dotykam,
Co już jest — ach! jest, sto razy wykrzykam,
Sto razy wołam — i wołam śmiertelnie,
Bo widzę — widzę na me oczy własne,
Patrzenie tak silnie — i wypatrzenie oczy,
Niech z wyteżenia krew się z nich wytoczy,
Wysilcie wszystko na jedno spojrzenie,
Niech pęknie oko, jeśli niezobaczy —
Początku szczęścia — i końca rozpacz —
Gdy niezapali płomienia — nad płomienie,
I niechaj oczy przepadną — wypłyną,
Niechaj zastygną na wieki krwią spiekłą,
Gdy niezapłoną taką żądzą wściekłą,
Któraby była samych Niebios miną,
Choćby szczyt Nieba, nad Niebo wysadzić,
Choćby i wszystko do szczytu wygładzić,
Choćby przywołać, dno piekieł do wzroku,
Choćby pozostać, niż Szatanem więcej,
Choćby odetchnąć, niż piekłem goręcej,

I choćby przyszło w jednym — śmiałym kroku
Nieba — i Boga wyprzeć się wszystkiego,
Choćby ślad zatrzeć piętna człowieczego,
I samą wieczność — wieczność w pył zamienić;
Ja pierwszy pójde — gromy krwią zrumienić,
Ja pierwszy pójde — i piersią rozbije
Głuche Niebios — i Niebo naznacze,
Jak Bóg nazaczył piorunem Szatana,
I wdzięczność będzie płomieniem ta rana,
Sam Bóg ją nawet swoją krwią niezmyje,
Bo to przekleństwo cnoty — i cnoty rozpaczę,
Bo Bóg za swoją własną chwałą nieobstaje,
Nawet samemu Bogu, czyli sił niestaje,
Ha! nawet się zdaje,
Ze Boga niema.....

* * *

Uderz piorunem, czoło me wytrzyma,
Ani zblednieje na chwilę,
I oko w oko, stanę tobie śmiało,
Bo wszystko dla mnie za mało,
Bo Nieba — słońca — Bóstwa w łonie tyle,
Zebym dla Ciebie wydolał mym Duchem.
Otocz mię jasnych piorunów łańcuchem,
Lub zniszcz ten pożar, który myśli pali,
Niebo płomieni — i w pierś twoją leci
I tam — tam nawet własnem piekłem świeci,
I tylko siebie samego obali,
Sobie — światu — i Bogu przebaczyć nieumie,
I wiecznie wrzy — i płonie — i wiecznie powtarza
Huczącym — strasznym wirem, Bóg mię nierozumie.
I Niebo martwe, nakształt głuchego śmętarza,
Świeci trupowi świata próchnem swoich kości,
Tu już wszystko wymarło na nieskończoności,
Tu już wszystko wymarło — Jednak samej śmierci,
Potrzeba wyrzeć wszystko — Ja ją skruszę w ćwierci,
I z samego śmierci końca,
I z pyłu nicości,
Utworzę tyle wielkości — wieczności,
Mojej młodości chcę spróbować Słońca,
Czy niewywołam gromu z Boga łona?
Czy nieuderzy w piorun mego Ducha?
I te dwa w siebie pioruny bijące,
Czy niewyświecą myśli Boga Niebu?
I ujrzę, czyli ta pierś Boga głucha,
Nie jest, jak wszystko otchłanią pogrzebu?
Ha! ja sam pójde —

Lecz patrz ślady ćmiące,
W przepaściach Niebios stopami wryte,
Ha! patrz, patrz tylko, tu był ktoś już wprzód,
Ach! jeden tylko ślad widzę w piorunach,
Ktoś krwawą piersią, darł się w chmur całunach?

I przebił Niebios i szczyty — i lody —
Bo pierwsze ślady Szatana pokryte,
Zgasły na wieki; lecz te drugie — świeże,
Wiencem miłości — liliami Księżycy,
Świecą tak łube, jakby Matki lica,
Sam Anioł wonie dla Ducha z nich bierze,
Sam Bóg na piersi, składa je z roskoszą,
A Duchy srebrne hymny dla nich wznoszą,
A czoła Niebios, jak wawrzynu wiencem,
Szczyci się wielkim nad niebian młodzieńcem,
Który sam jeden — i tylko miłością
Do Boga przyszedł — i Boga zrozumiał,
Z Bogiem po bosku, rozmówić się umiał,
I na Ojczyznę — pokazał z rozpaczą,
I słów niebyło — tylko taka cisza,
Jakiej od Męki Świętej, Niebo niepamięta,
I taka boska cisza — harmonijna — święta,
Jakiej Niebiosy nigdy łzami niewypłaczą,
Bo w Niej Bóg cały Naród z win przodków rozgrzesza,
Bo Bóg już odpowiedział — po bosku, nie słowy —
Bo Bóg już odpowiedział, na otchłan miłości,
Bo Bóg już odpowiedział; wznos się hymnie nowy,
I graj Nieskończoności, na Nieskończoności.

S.....

Demonomania

czyli

Nauka nadziemskiej mądrości w najnowszej postaci

przez

Dr. Trentowskiego.

II. CZĘŚĆ TEORETYCZNA.

Wyształcony należycie i rozsądny czytelnik polski, zastanowiwszy się nad sześciu powyższemi powieściami, rzeknie niezawodnie, że to są arabskie romanse s tysiąc nocy i jedna, nafiltrowane dzisiejszą filozofią; rzeknie, że chcieliśmy podać wzór prozą, jak mają być pisane ballady, lub legendy godne wieku naszego, że o prawdę i poznanie rzeczywistości nie-

chodzi tu bynajmniej, lecz że bujny um (fantazya) odgrywa tu poetycką rolę. Atoli rzecz się ma inaczej. Powieści owe niesą bez wartości umiętnej, bo wyświecają nam szare, nocne strony ludzkiej istoty. Wartość ich jednakże niejest tak wielka, jaką do nich ten przywiązał, co po raz pierwszy światu je ogłosił. J. Kerning, (właściwe nazwisko Krebs, lecz Kerning stoi w podpisach i tytułach dzieł,) uczony i filozofujący Niemiec, mieszkający dziś w Donaeszyn-gen, wśród Czarnego lasu, buduje na powieściach tych nową teorią mądrości nadziemskiej. Zdaje się, że przedstawia sam siebie pod nazwą Mohrlanda, a uczniów swych, praktykujących w świecie, chrzci pseudonimicznie Silbertem, Fildyngiem, Herdmanem itp. Kerning wydał kilka dzieł, s których najważniejsze: „Klucz do świata duchów, czyli Sztuka życia; Droga do nieśmiertelności; Główne zarysy Biblii; Wolny mułarz.“ Ponieważ w naszym, chorym ciężko na malignę czasie, podnoszą trupią swą czaszkę śmiało do góry Supernaturalizm, Pietyzm, Mystyka i wszelkiego rodzaju upiorowe teorie; ponieważ zgola utworzyła się liczna sekta Swedenborgianów, wywołująca nieboszczyków i wypędzająca demonów, tudzież zdołała zapewnić sobie byt polityczny w Królestwie Wirtembergskim; ponieważ dziś, jak za czasów upadającego Cesarstwa Rzymskiego, — co bardzo niedobrym jest znakiem i przepowiada wielką odmianę, — włóczą się po Francyi, Belgii, Anglii, Niemczech i innych krajach fałszywi prorocy, oraz szarlatani najrozlicniejsi; ponieważ wreszcie pisma Kerninga, jak każde poetyczne, szatą cudowności powleczone głupstwo, znajdują dość lubowników, wchodzą w praktykę i mogłyby dostać się w ręce nieprzygotowanych na nie pobożnych rodaków; więc powieści owe nabierają tu tem większego znaczenia. Idzie nam bowiem, nie już o samo psychologiczne usposobienie cudotwórców, opętanców i lunatyków, ale o posady nowej nadziemskiej mądrości, roszczącój sobie prawo do berła nad człowieczeństwem,

tudzież o jeden z rysów charakteru naszego wieku. —

Powieści dane wyjęliśmy z pism Kerninga, przecież s całkowitem ich przerobieniem, tak że podaćbyśmy je mogli za oryginalne. Tylko cel rzeczy zostawiliśmy bez zmiany. Kerning pisze rozwlekłe i nader niewprawnem, choć starem już piórem. Powieści jego trzeba było skrócić, lepiej uporządkować, ożywić i pewną dzielnością natchnąć. Znana dobrze to prawda, że głowa za tępa i za ciasna dla mądrości ziemskiej, lubi gonić za nadziemską mądrością, gdyż i ona pragnęłaby wysterknąć nad inne w świecie sławy. Podobnie się ma s Kerningiem. Teozofia, metafizyka i fizyka jego jest jak najnędzniejsza. Dzieli np. naturę na nieżywą (!?) i żywą. Do pierwszej należą ziemia i rośliny (!?); do drugiej zwierzęta i ludzie. Powieści nasze polegają na jaźni i rozbudzeniu w niej jądrowego, boskiego życia. Kerning tymczasem, jako Niemiec, germańską filozofią zarażony, nie ma o jaźni należytego wyobrażenia. Raz uchwycił ją s prawdziwej strony, to jest jako transcendentalność w nas żyjącą, czyli jako wieczność, jako świat trzeci, zasadniczy i boski, jako wolę, przedsięwzięcie i moc czynu, sumienie, wolność i własne uczucie; inny raz znowu widzi w niej li duszę, ducha; a nawet myślenie, które sam jako potępieńca i demona wyklina. Wszystko to musieliśmy poprawić i zmienić. Nauki Mohrlanda, Fildynga i Silberta, zatrzymawszy cel swój, to jest budzenie w człowieku transcendentalnego żywota, nabyły przeto u nas innej zupełnie umiętnej iszczyny.

Kerning nienawidzi systematyczności i rospawia jak np. nasz Mickiewicz, jak wschodni poeta, lub zachodni prostak s pewnem ducha usposobieniem. Kiedyśmy poznali już podstawę jego nadziemskiej mądrości, wdać się nam trzeba nieco bliżej i w tę mądrość samę. Przywodzimy tu teorią tego Niemca, lecz w podobnemże przerobieniu, jak dawniej jego po-

wieści. Oto nowa nauka, pragnąca świat zreformować i zbawić:

„Pierwiastkowy ród ludzki przepelnion był żywotem wewnętrznym, transcendentalem, nadziemskim i boskim; żywotem mądrego Mohrlanda. Ale zajmwszy się zupełnie światowością i począwszy holdować Materyalizmowi, uronił ten żywot, a z nim i światłość jedynie prawdziwą. Wszystkie księgi odwieczne, święte i nieświęte, są dla nas Sfinxa zagadką. My ich nierozumiemy, bo straciliśmy zdolność ku temu, t. j. zmysł dla nadziemskiej prawdy. Urim i Thummim Hebrajczyków przepadły dla nas na zawsze. Symbola inkarnacyi indyjskiego Wisznu stały się nam niedorzecznymi baśniami. Samo wcielenie się Chrystusa przechodzi władzę naszego pojęcia. Pyszni się z naszego rozumu i umysłu; lecz pierwsi mieszkańcy ziemi mieli wyższą daleko ducha potęgę, uglądając Boga i rzeczy Boskie bezpośrednio. My potęgi tej nieposiadamy. Świat ludzki zgubił coś wielkiego, coś niebiańskiego, coś takiego, co stawilo go w równi s Cherubinami i innymi mieszkańcami krain wieczności. Szuka on straty tej od dawna. Odkrycie na nowo tego klejnotu stało się celem i dotychczasową daremną pracą Wolnego mularstwa. Chrześcijaństwo ma to znaczenie, że Bóg, chcąc rodowi ludzkiemu nagrodzić tę stratę, zesłał syna swego na ziemię i kazał mu świat transcendentálny na nowo odsłonić. Ono dało nam prawdziwą wiarę, lecz nieprzywróciło bezpośredniego zmysłu dla wiekuistej prawdy. Mohrland szukał kamienia mądrości, odkrył go w głębinach jaźni ludzkiej i wskazał światu gościniec, którym idąc każdy z nas, zdobyć potrafi nieoszaczowany ten skarbiec.“

„Wiara zastępuje dziś miejsce dawnego jasnowidzenia. Ona jest największem człowieka szczęściem, trzyma jaźń jego w niebiańskiej czystości i wiedzie go w końcu do zbawienia. Filozofia, umiejętności i nauki mają początkiem swym rozbrat z wiarą. Wywołały je

zapamiętała miłość świata i spraw jego, oraz szatańska tak zwanych geniuszów pycha. Jest to słusznie od Boga Adamowi i Ewie zakazany owoc z drzewa ziemskiej, skończenniej, co chwila innej wiadomości. Wszystko tu, nawet najeteryczniejszy bezwarunkowy Idealizm, jest na dnie prawdy Materyalizmem, polega na samolubstwie zbuntowanej, czyli od ducha zlego uwiedzionej jaźni. Wszelka nauka i sztuka, zgola zatrudnienie każde, mające li rzeczy ziemskie na celu, jest demonem, który urodził się w piekle i panuje na naszym biednym świecie. Taki demon umie jaźń ludzką, jak pajak muchę, uplatać w swe sieci, zrobić ją branką i kołysać aż do końca życia w braku uczucia własnego. On pożycza jej swej rostopności, przebiegłości, zręczności i dzielności, tak, że jaźń sądzi, iż ma geniusz lub wyniosłe talenta, za pomocą których rozbija napotykaną w drodze zawadę, przychodzi do sławy, lub wysokiej dostojności i panuje nad ludźmi. Niedziw; potężny demon ją opętał i przelał w nią swe siły! Śmiało rzecz można, iż każdy człowiek, zwłaszcza wykształcony, tak mężczyzna, jak niewiasta, jest opętany. W niejednym siedzi cały pułk demonów. Rzadki tu bardzo wyjątek. Ludzie o tem niewiedzą, iż mieszka w nich piekło i kieruje nimi, jako pustusznem swem narzędziem; albowiem przyjsć do takiej świadomości ten jedynie zdoła, na kim spoczywa łaska Boża, lub też kto żywot swój wewnętrzny w tak znakomitym rozbudził już stopniu, jak np. chora Karolina Ruppert. Wszakże sam adwokat Silbert niewiedział, nim przejrzał prawdą, że 44. tysiące demonów nim władało. Oprócz tego szatan jest takim lisem, że potrafi niewolnikowi swemu ukryć to, iż nad nim panuje, a człowiek naturalny znowu tak głupim, iż słodkiego, gorąco ulubionego jarzma swego bynajmniej niepostrzega i nieczuje. Ale biada temu, w kim przy końcu życia poruszy się boska jaźń samodzielnie i ujrzy piekielne swe dyby! Czeką go los podobny, jaki spotkał np. Linneusza, Weisse-

go i tylu innych, to jest zdziecinienie i kołowatość ducha w starości.

Od czasów Hermesa Egipskiego, a nawet pierwój jeszcze, trudniły się najcelniejsze ziemskie jeniuszki filozofią, umiejętnością i nauką, polując nieraz całemi rotami za prawdą. Ale, cóż zrobiono? Jedna teoria zbija tu wciąż drugą, a po najslawniejszym mądrości całokształcie (systemie), następuje wnet całokształt jeszcze sławniejszy. Skąd to pochodzi? Oto, że na polach znikomości, którą trudnią się w gruncie wszystkie nauki, prawdy niebyło, niema i niebędzie. Zaczem, miasto za ocean mądrości, chwytano tu ciągle za fata morgana. Późnoś wybrał się w te krainy, dzisiejszy wędrowcu! Tu już wszystko zwiedzono, a niczego nieodkryto. Lepiej zrobisz, iż wyszukawszy Mohrlanda, zawołasz z nim razem: „Filozofia i nauka jest ziemskim głupstwem w szychowej mądrości szacie. Precz z bibliotekami, księgami, systemami; precz ze wszelką uczoną bazgraniną! Mądrość rzeczywista zdobywa się li cudowną praktyką. My jesteśmy ludźmi czynu!”

„Patryarchowie świata posiadali mądrość nadziemską i żywe głębokie uczucie nieśmiertelności, oraz boskości własnej. W naszych czasach, gdzie abstrakcje i syllogizmy wyziębily serce aż do dna, gdzie każdy niemal człowiek jest adwokatem Silbertem, niezdolnym czuć i wierzyć, lecz szukającym filozoficznej myśli; w takich czasach, tuszymy, iż nauka nasza przyjdzie w pomoc niejednemu i błogie przyniesie zmateryalizowanemu światu korzyści. Uczyniliśmy wreszcie to tylko, co Pan niebios i ziemi nam polecił. — Siły wewnętrznego żywota, jak to widzimy na marzeniach sennych, są ustawicznie w ruchu i niemogą nigdy spocząć. Siły te nieznają, czem jest zmordowanie i znużenie, bo są wiecznej natury i promieniem nadziemskiej wszechmocy. Skoro człowiek wejdzie z niemi w równowagę i zamieni je w dowolne, posłuszne sobie siły własne, skoro wśród jawu zdola widzieć, słyszeć i czuć cudowne ich utwory;

natenczas ustana w nim być nieświadomemi, otrzymają prawdę swą, rzeczywistość i znaczenie, odsłonią mu nadziemskie dziwy i dadzą, czego tylko zażąda. Przez nie wstąpi w niego prawdziwa mądrość i część wszechmocy. Sennie marzenia i dowolne jasnowidzenie, oto pierwszy i ostatni kraniec wewnętrznego żywota. Na nich opierają się objawy snu magnetycznego, wszystkie tajemnice natury ludzkiej i nauka nieśmiertelności w każdej religii; na nich, jak na niewzruszonych barkach Atlasa, spoczywa także mądrość, którą ogłaszamy. — Świat dzisiejszy w nic niewierzy, jak adwokat Silbert, i nieśmie odepchnąć od siebie przeszłowiecznego przesądu, zowiącego cuda i transcendentalne dziwy, duchy i upiory głupstwem. Filozofia i umiejętność utwierdza go codzien silniej w niewierze. Stąd pochodzi, że porywa go przesyt jakiś nieznośny i brak zadowolenienia z życia; stąd owa powszechna dążność za zbytkiem, rokoszą i zmysłową uciechą. Świat dzisiejszy niezna wiary, ani jej nawet pojąć nie może; dla tego niezdolny jest do ofiar za wolność, której ognistą miłość udaje. On niekocha wolności prawdziwie, bo gdzie braknie wiary, tam niema równie miłości, jak nadziei. Świat dzisiejszy jest nieszczęśliwy, jak adwokat Silbert. Dla tego też zniewolić go tak potrzeba do wiary, jak Silberta. Wróci on na drodze tej do wiary, albowiem ujrzawszy na żywe oczy zjawiska i dziwy, których ani pod rubrykę rzeczy przyrodzonych, ani też pod kategorie filozoficzne podciągnąć niemożna, w ubóstwie swój, również upadkiem pierwotnego człowieka napiętnowanej mowy, zawoła: Siły, jakie rozwijam w sobie i przenoszę za siebie, są transcendentnej, to jest nadziemskiej, wiecznej, boskiej, takiej natury, której pojąć niezdolam, lecz w którą, doświadczając jej potęgi sam na sobie tak widocznie, wierzyć muszę bez warunku. Środki do tego wielkiego celu wskazaliśmy w uczy (metodzie) Mohrlanda i Fildynga. Są proste i niezawodne, choć trudne. Kto ma odwagę chwy-

cie się ich, przekona się wkrótce, jak dalecy dziś jesteśmy od własnej naszej jaźni prawdziwej i nadziemskiego jej żywota. Temu zapewniamy uroczyscie, iż pozna sam siebie we wnętrznościach i głębokościach serca; iż dopnie tego, co Silbert. — Mohrlanda, dzisiejszemu światu potrzeba! Oto nauka Messyanizmu, o którym prawią wszyscy, co oczekują nowej Epoki w dziejach ludzkości!“

„Ród nasz rospadł się na dwa przeciwne sobie bieguny. Człowiek żyje albo w zupełnej światłości niebios i wedle praw Bożych natury swęj jądrowej; albo też w ciemnościach ziemskich, służąc tym lub owym potężnym znikomosci demonom. W obu razach zdoła posiadać jedność s sobą i równowagę we własnej jaźni. Człowiek pierwszego biegunu rzadko upada, bo żyjąc w światłości, widzi wybornie każdą otchłań i rzucić się w nią niezapragnie. Ale gdy człowieka biegunu drugiego opuści dawna ślepotą i zarozumiałość, gdy ujrzy wysoko nad sobą obłoczek wiekuistego światła; co ma czynić naówczas i jaką udać się drogą? Nie inną, tylko którą wędrowali Karolina Ruppert i adwokat Silbert. Jego cała natura rosstroji się, jak klawikort, na który spadł kamień żarnowy, i nastąpią w niej tak duchowe jak cielesne chorowite symptoma, których psycholog zwyczajny niepojmuję, a lekarz uleczyć niepotrafi. Wtedy sztuka Mohrlanda jest sztuką Zbawiciela, wypędzającą z Opętanych szatanów i przez to przywracającą im zdrowie. O, gdyby nam wolno było zaglądać wraz z lekarzami do szpitali i izb cierpienia! Ileż zjawisk odkrylibyśmy, których początkiem jest przechód z niewiary w wiarę, ze światowości w światowość, czyli nagłe ujście niebios i stracenie przez to równowagi w dotychczasowej li ziemskiej swęj jaźni! Wszystko, co objawia się gwałtem i nagle, pociąga za sobą niebezpieczną rewolucyą. Również przechód z nocy żywota do jasnego dnia prawdy. Jak łagodnie tymczasem rozjutrznia się słońce niebiańskie w duszy majtka Wipnera i kapitana v.

Haerdteck! Jestto dowód pierwszeństwa wiary i prostactwa nad wykwinną ciemnotą naszego oświecenia!“

(*Ciąg dalszy nastąpi.*)

U W A G I

nad powieścią,

„**Latarnia czarnociężka, obrazy naszych czasów przez J. J. Kraszewskiego, IV. T. Warszawa, nakładem Orgelbranda 1844.**“

(*Ciąg dalszy.*)

• (Regent) był to żwawy staruszek, lat około osiemdziesięciu, z skórą pomarszczoną na twarzy, siwym wąsem, szaremi oczkami, w kapocie z sterczącym kołnierzem, z wielkim krwawnikowym sygnetem na palcu. Opierał się na trzcinie z srebrną skówką i rzemiennym kutasem. Głowę miał łysą i puszek tylko biały ją okolał. — Wyraz twarzy łączył dobroduszość z przebiegłością; w oczkach mianowicie świecił dowcip, szyderstwo, i jakieś uczucie pewności siebie. Usta około których pofałdowała się skóra wyschła najdziwniej, znać nie próżnowały. Mówił szybko, z łatwością i pozornem wywnętrzeniem, a jednak ostrożnie, tak że go nikt w życiu za słówko nie złapał. Mówiąc nawet wiele, umiał wyciągnąć raczej, niż się wygadać. Examinowany, badany, najczęściej płatał przeciwnika i zdając się wywnętrzać, wyciągał z niego, to, co chciał wiedzieć. Regent był na okolicę najslawniejszym prawnikiem, z tych to sławnych jurystów, co nowiejat przy trybunale jeszcze lubelskim odprawili i pamiętali świetne czasy palestry. — Miał znajomość praw i form rozległą, znajomość szykany sądowej, pióro łatwe, wiele dowcipu i przebiegłości. Zimny na pozór, process jednak prowadził namiętnie i uporczywie; wyciągając jednak co chwila rękę do zgody, ofiarując układy, zaklinając się, że nienawidzi prawa i pieniacstwa, niedawał jednak kończyć zgodnie.

Trzymał się we wszystkim formalności jak najściślej, żadne względy od niej odwieść go nie mogły. — Prawo chce formy powiedział, potrzeba jej koniecznie. — Wszyscyśmy śmiertelni. — Ja WMPanu Dobrodziejowi najzupełniej wierzę, ale kto może przewidzieć jutro — itp. itp. Bałwochwalca form, stosując się do nich w tem co sam robił, z szczególną troskliwością wyszukiwał u przeciwnika zaniedbania formalności, i prawie zawsze udało mu się wynaleść, coś nieformalnego w akcie, coś nieprawidłowego w pozwie, jakiś nieporządek w czynnościach prawnych. — Prawo, mawiał, stało się labiryntem, formalność jest nicią Ariadny, która wiedzie po nim. Jury-

sterja Mosanie to sztuka dzisiaj, nie dość czuć co słuszną a niesłuszną, odszukać prawo i zacytować, napisać głos, aby być prawnikiem; trzeba głowy i doświadczenia, doświadczenia, tradycyji nadewszystko.

Co się tycze pocześciwości i sumienności Regenta, o tej różnie, różni prawili. To jednak pewna, że raz powiedzonego sobie interessu nie zdradził, przeciwnej stronie papierów nie sprzedał i sprawy klienta za nic w świecie nie skompromitował. Skutkiem nałogu prawnictwa i procesowania się, Regent nabył zupełnej passyji do niego. — Zajmował się sprawą *con amore*, z przejęciem, zapałem, z troskliwością macierzyńską, z staraniem kochanka.

Nie uważał, ile zyska na processie, i częstokroć podejmował się spraw zawiłych, wątpliwego końca, jedynie, aby zadość uczynić swej namiętności. Nie chodziło mu o pieniądze, szło mu o zatrudnienie, o to, aby miał interes na stole, aby się zajął silnie czemkolwiek. Często w niedostatku spraw nowych, odczytywał stare głosy, wartował pliki dokumentów do spraw zapomnianych i odsądzonych, pisał noty do processów od stu lat upadłych. Lubił też rozprawiać o swoich heroicznym dziełach, jak żołnierz o wyprawach, liczył dekreta jak wawrzyny, wygrane jak walne bitwy. I wówczas wyjaśniały mu się oczy, policzki rumieniały, nabierał życia, młodził widocznie.

Ależ to właśnie podrzędne tylko osoby w układzie dramatu, a nie należące już do ludzi dzisiejszego czasu. Więc obecna Polska byłaby, wedle wystawienia autora, samym składem znikczemnienia i moralnego upadku, zbiorem ludzi w ciasnym kole egoistycznych zabiegów dokonywających życia niezadługo wcale inny, ale już nie z rodzimych elementów wysnuty, kształt przeobrazić się mającego! A wszakże to sam Kraszewski malując w mocno zajmującej historii Sawki (T. II. str. 81—16) uciśnionej nie samą tylko swoich niesprawiedliwością, stan spodnich jej pokładów tak silną i niezniekaną jeszcze nieszczęściem widzi w nich cnotę; mówiąc zaś o obywatelach Ukrainy, powiada, że oni są rzeczą panami, zamożni, bogaci, a nie mają do państwa pretensyi; pracują nad powiększeniem majątku skrzętnie, z pewnym rodzajem zapału, wyłanianiem się, ale używają majątku nabytego, jak ludzie prawdziwie ucywilizowani. Na Ukrainie piszą wiele, zajmują się literaturą, czytają i kupują książki, życie umysłowe w tym kątku jest może na wyższym, niż gdzieindziej stopniu. W obejściu się Ukraińca znać pełnego życia wykształcenia, zapału człowieka. Jest to może jedyne miejsce, gdzie dziś literaturę biorą serjo, gdzie tylu pisze i pisze tak wybornie, gdzie wreszcie książka wyborniejszej treści przyjeżdża bywa i osądzoną. Ukraina żyje prawdziwie głową!

O szlachcie wołyńskiej nadto, tak się wyraża w Tomie I. str. 176. „Serca dobre, próżniactwo tylko i brak oświaty ich gubi. Słyszałeś ich gardzących przeciw panom może nie bez słuszności; gdyby jednak który z tych nienawistnych im panów, wyciągnął rękę, poprosił pomocy, zażądał posługi i uchylił czapkę przed bratem szlachcicem, myślisz, żeby go odepchnęli? Sądziłbyś najfałszywiej. Niktby nie odmówił pomocy, usługi i ratunku. Złość ich większa jest jeszcze na języku, niż w sercu.”

Gdyby też autor miał być na celu wystawienie i wynicowanie samych zdrożności narodowych, jakiego przecież nie miał, pragnąc (jak sam powiada w Epilogu) skreślić obraz społeczeństwa, którego cienie i plamy są tylko jedną stroną; to czyż nie powinien był pokazując, jakim nie jest, wskazać wraz ubocznie i pośrednio, jakimby być powinno to społeczeństwo? Kiedy Arystofanes smagał w Atenach razami nieźrównanego dowcipu znikczemniałe pokolenie swego czasu, nie przypominał on nigdy stawiać mu w swych komedjach przed oczy bohaterów z pod Maratonu (*τὸν Μαράθωναμάχου*); a nie tylko dla większej energii ducha szczytniejszym mu był w jego „Zabach” poeta nieokrzesany i mało dramatyczny nieraz Aischylos od Euripidesa, ale raczej, że stworzył „Siedmiu pod Thebami” drama wrzące ogniem bożka wojny (w 1021.) i „Persów” zapalające do zwycięstw nad wrogami (w 1025—1026). A przecież któż równać zechce dzisiejszych Polaków, pełnych starodawnej, nieskażonej jeszcze cnoty, z Ateńczykami Arystofanesa, temi spodłalemi narzędziami nikiemnych demagogów i złota Perskiego Autokraty? O jakżeż to szczytniej postąpił sobie nasz nieźrównany Krasicki, kiedy nie skąpiąc także cierpkiej i mocnej satyry na przywary swego czasu, wystawił w osobie Podstolego swoim i przyszłym kraju mieszkańcom wzór obywatelskiej cnoty i poświęcenia. Nazwał go tam gdzieś Kraszewski gawędziarzem, utylityrusem; mniejsza o to, kiedy tylko potrafił wpłynąć i wpływa na ukształcenie lepszego pokolenia; czego bodaj dokaże która z figur powieści autora, obrona zawsze z zapału patriotycznego.

W poprzedzającym Nrze Orędownika Nauk. str. 95 kolumna 1 w. od dołu 24, czytaj niezliczone zam. nieuczone.

(Ciąg dalszy nastąpi).